BRUNONIA BARRY

POWRÓT DO SALEM

Fantastyczna opowieść o namiętności, tajemnicach i magii!

TIME

Prolog

W czasach, kiedy powinna nazywać się „Tarapaty", miała zwyczaj kraść łodzie. Ojciec nigdy nie podejrzewał Zee o to, że robi coś złego, dawał jej swobodę, zwłaszcza zaraz po śmierci matki dziewczynki. Sam oddawał się wtedy zabawie w piratów, co stanowiło zaskakującą zmianę w zachowaniu mężczyzny zajmującego się dotąd literaturoznawstwem. Był to jednak dla nich okres rozpaczy, a ponieważ oboje czuli już zmęczenie ciągłą żałobą, oddawali się osobliwym zajęciom, które pozwalały im zapomnieć o trudnych sprawach.

W świecie fantazji, w którym Zee potrafiła sobie wybaczyć to, co się zdarzyło tego roku, lubiła myśleć, że ojciec, Finch, byłby dumny z jej talentów złodziejki. A w najdzikszych marzeniach roiła sobie, że przyłącza się do niej i razem przeżywają przygody. Byłby to wprawdzie ogromny przeskok dla nauczyciela akademickiego, lecz nie dla pirata, w którego zamieniał się Finch.

Zee zwykle wybierała szybkie łodzie motorowe. Jej ofiarą padały wszystkie, które pływały z prędkością przekraczającą trzydzieści węzłów. W tamtych czasach mało kto obawiał się złodziei, toteż większość z tych nielicznych właścicieli łodzi, którzy w ogóle zamykali kokpit, ukrywała klucze na łodziach, zazwyczaj w najbardziej oczywistym miejscu, jakie można sobie wyobrazić.

Gra była prosta. Zee wybierała łódź elegancką, która wyglądała na szybką, i dawała sobie dokładnie pięć minut na włamanie i uruchomienie silnika, po czym wypływała z przystani ku oceanowi. Kiedy mijała granice Salem, zwiększała prędkość i obierała kurs na wyspę Baker. Tej samej nocy zwracała skradzioną łódź.

Pilnowała wyłącznie jednej zasady. Nigdy nie zostawiała łodzi w miejscu, z którego ją ukradła. To była dobra zasada, nie tylko dlatego, że stanowiła dla Zee dodatkowe wyzwanie, ale także z powodów praktycznych. Odstawiając łódź w miejsce, z którego ją zabrała, zwiększyłaby prawdopodobieństwo, że zostanie schwytana. Wszyscy wiedzą, że ostatnia rzecz, jaką powinien zrobić sprawny złodziej, to powrót na miejsce przestępstwa.

Zazwyczaj porzucała łódź przy jednym z licznych, ogólnodostępnych nabrzeży w Salem. Często wybierała pomost przeładunkowy obok parku rozrywki Willows na samym początku przystani. Potem jednak, gdy zaczęła jej szukać policja, Zee zostawiała łodzie w innych, mniej rzucających się w oczy punktach. Czasami wybierała prywatną keję. Albo którąś z pochylni przy nadbrzeżu Derby, dzięki czemu mogła łatwo umknąć, gdyż mieszkała niedaleko.

Tylko raz spartaczyła sprawę i błędnie oceniła poziom paliwa w baku. Dopływała już do Singing Beach, plaży w Manchesterze, gdy zgasł nagle silnik. Początkowo nie wierzyła, że skończyło się paliwo, kiedy jednak sprawdziła ponownie jego poziom, przekonała się, że się myliła. Walcząc z narastającym przerażeniem, Zee usiłowała wymyślić jakiś plan. Bez trudu potrafiłaby dopłynąć do brzegu wpław, lecz wtedy łódź albo by podryfowała w morze, albo rozbiła się o skały. Po raz pierwszy Zee naprawdę się wystraszyła, że zostanie przyłapana. Nawet w pewnym sensie cieszyła się, że nie ma wokół niej innych łodzi i nie może nikogo poprosić o pomoc. Nie wiedząc, co robić, przez jakiś czas pozwoliła łodzi dryfować.

Spojrzała w górę. Niebo było bezksiężycowe, lecz gwiazdy świeciły jaśniej niż kiedykolwiek. Ich odbicia rozpuszczały się

wokół niej w wodzie niczym pastylki musujące. Patrząc, jak znikają, czuła, jak znika również jej strach. Płynęła z prądem, spoglądała na niebo i miała przeczucie, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy znowu spojrzała w dół, na horyzont, chcąc ustalić swoje położenie, odkryła, że dryfuje ku brzegowi. Kątem oka dostrzegła ciemny zarys lądu. Gdy się odwróciła i przyjrzała lepiej, zauważyła nabrzeże, a nad nim tonący w ciemnościach dom. Chwyciła wiosło i walcząc z boczną falą, zaczęła kierować łódź prosto w tamtą stronę. Dopłynąwszy do brzegu, złapała cumę i szybko wyskoczyła na brzeg. Poślizgnęła się i skręciła lekko kostkę, lecz zdołała zapobiec zderzeniu łodzi z nabrzeżem. Przycumowała ją, zabezpieczyła dziób oraz rufę, po czym wgramoliła się po skałach na plażę. Później ruszyła drogą na dworzec kolejowy. Kuśtykała trochę z powodu bolącej kostki, ale w sumie uznała, że i tak całkiem nieźle sobie poradziła.

Chciała wrócić do Salem, lecz było już po północy i pociągi nie kursowały. Najpierw pomyślała, że prześpi się na plaży. Noc była ciepła i chyba nic jej tam nie groziło. Nie chciała jednak niepokoić ojca, który miał wystarczająco dużo zmartwień. I nie chciała być w pobliżu Manchesteru, kiedy policja znajdzie skradzioną łódź.

Postanowiła wrócić do Salem autostopem. Niezbyt mądra decyzja — pomyślała, podchodząc do chevroleta novy, który przed chwilą zatrzymał się jakieś piętnaście metrów przed nią, a teraz cofał się na pełnym gazie.

Za kierownicą siedziała kobieta gotowa podrzucić Zee. Miała około czterdziestu pięciu lat, nieznaczną nadwagę, długie włosy i błyszczące niebieskie oczy, w których odbijały się światła przejeżdżających pojazdów. Początkowo twierdziła, że jedzie jedynie do Beverly, potem jednak zmieniła zdanie i zdecydowała się odwieźć dziewczynkę aż do domu, ponieważ bała się, że jeśli tego nie zrobi, Zee zamacha na kolejny samochód i może trafić na mordercę albo gwałciciela.

Kiedy jechały szosą 127, kobieta opowiedziała małej pasażerce wszystkie straszliwe historie o jeździe autostopem, jakie znała, a potem kazała sobie obiecać, że nigdy więcej nie

wybierze takiego sposobu podróżowania. Zee dla świętego spokoju przyrzekła.

— Tak mówią wszystkie dzieci, ale później i tak robią swoje — zauważyła kobieta.

Zee chciała jej powiedzieć, że nigdy nie jeździ autostopem ani nie jest typem ofiary, a poza tym dziś w nocy złapała okazję tylko dlatego, żeby nie powiązano jej z przestępstwem, którego się dopuściła — kradzieżą łodzi. Zdawała sobie jednak sprawę, że takie wyznanie może za sobą pociągnąć kolejne opowieści „ku przestrodze", więc milczała.

Kiedy wysiadała z samochodu, odwróciła się do kobiety, lecz zamiast podziękować, odezwała się głosem bohaterów z kreskówek nadawanych w sobotnie ranki, które oglądała jako mała dziewczynka:

— Będzie pani moją mamusią?

To miał być żart, jednak kobieta się załamała. Zaczęła płakać i nie mogła przestać.

Zee zapewniła ją, że nie mówiła poważnie i że ma matkę, chociaż nie była to prawda, już nie.

Wiedziała, że nic, co powie, nie przerwie szlochu kobiety, toteż w końcu wydukała słowa, które była tamtej winna od samego początku:

— Dziękuję pani za podwiezienie.

Oczywiście nie podała prawdziwego adresu — nie chciała ryzykować, że kobieta wpadnie na jakiś dziwny pomysł, na przykład zechce zajść do nich i zamienić słówko z Finchem. Zee planowała ukrywacie się w ciemnościach do czasu, aż kobieta odjedzie, a potem przez podwórza dotarcie do domu. W końcu jednak poszła przed siebie, wybierając najprostszą drogę. Zalewająca się łzami kobieta i tak pewnie by nie zauważyła, dokąd Zee zmierza.

Dziesięć lat później, kiedy Zee przygotowywała się do pracy psychoterapeutki (i od dawna już nie była pannicą, która nie-

ustannie wpada w tarapaty), zobaczyła tę kobietę ponownie — była jedną z pacjentek grupy wsparcia dla osób z lękami. Grupę prowadziła mentorka Zee, doktor Liz Mattei. Kobieta nie pamiętała Zee, ta jednak wiedziała, że skądś ją zna; pamiętała te lśniące niebieskie oczy, w których i teraz stały łzy. Kobieta powiedziała, że straciła kiedyś dziecko, nastolatkę, która uciekła z domu. U córki rozpoznano dwubiegunową chorobę afektywną, tak samo jak niegdyś u matki Zee, Maureen, lecz nastolatka nie chciała przyjmować litu, ponieważ od niego tyła. Po raz ostatni widziano ją przy prowadzącym na południe pasie szosy 95 — stała z tabliczką z napisem NOWY JORK i usiłowała złapać okazję.

To była zima 2001 roku; minęło dziesięć lat, od kiedy kobieta straciła córkę. Niedawno runęły bliźniacze wieże World Trade Center. Grupa terapeutyczna wciąż się powiększała, lecz jej pierwotni członkowie stawali się dziwnie spokojniejsi i uczynniejsi wobec siebie, jak gdyby ich nieokreślony niepokój w końcu nabrał kształtu, a wszyscy pozostali mieszkańcy Ameryki zaczęli odczuwać ten sam rodzaj panicznego strachu, który oni czuli codziennie od lat. Po raz pierwszy, odkąd Zee pamiętała, członkowie grupy naprawdę na siebie patrzyli. I chociaż kobieta mówiła o swojej córce dokładnie w ten sam sposób jak podczas poprzednich cotygodniowych spotkań, tego dnia jej towarzysze niedoli nareszcie ją usłyszeli.

— Świat może się zmienić ot tak, w jednej chwili — oznajmiła.

— W mgnieniu oka — przyznał ktoś.

Ludzie podawali sobie chusteczki. I cała grupa zapłakała razem po raz pierwszy, szlochając z powodu zniknięcia dziewczyny, która bez wątpienia utraciła niewinność. Płakali też, naturalnie, nad sobą.

Określenie „dwubiegunowe zaburzenia afektywne" stało się niedawno niezwykle pojemne. Podczas gdy kiedyś uważano, że na takie problemy cierpią chłopcy i dziewczynki na początku

okresu dojrzewania (tak jak w przypadku córki tamtej kobiety), teraz chorobę tę rozpoznawano nawet u trzylatków. Zee nie wiedziała, co o tym myśleć. Czuła się ostatnio rozdarta i niezdecydowana. Nie zdawała sobie sprawy z siły swojego żartu sprzed lat, aż Mattei jej tego nie wytknęła, sugerując, że złośliwość była zamierzona. Nie — zapewniła swoją mentorkę i szefową. I mówiła poważnie. Cóż, bez wątpienia psychozę afektywną trzeba leczyć. Nieleczone zaburzenia dwubiegunowe zazwyczaj prowadzą do tragedii. A jednak podawanie leków w zbyt młodym wieku nie wydawało się Zee właściwe i raczej kojarzyło się z zyskami dla przedsiębiorstw farmaceutycznych i zaleceniami firm ubezpieczeniowych niż z tego rodzaju pomocą, której pragnęła udzielać i której niesienia uczyła się przez lata studiów.

Światowej sławy psychiatra, doktor Mattei, już dawno temu przekazała swoją grupę wsparcia Zee oraz jednej z pozostałych terapeutek. Sama w tym czasie przymierzała się do napisania najnowszego bestselleru — książki proponującej i omawiającej teorię, zgodnie z którą córka zawsze będzie próbowała ziścić niespełnione marzenia matki. Pomysł nie był nowy, jednak dopiero Mattei ustaliła, że nawet jeśli matka nigdy nie opowiedziała córce o swoich marzeniach, dziewczyna i tak najprawdopodobniej będzie starała się je urzeczywistnić, mniej więcej w ten sam sposób, w jaki niektóre osoby nieświadomie powtarzają pewne zachowania i czynności z przeszłości, chociaż tej przeszłości nie pamiętają.

Zee często zastanawiała się nad przypadkiem kobiety o błyszczących oczach, która po tym wieczorze wróciła jeszcze tylko raz na spotkanie grupy wsparcia. Zee zastanawiała się nad niespełnionymi marzeniami kobiety, wyrażonymi i niewyrażonymi, i była ciekawa, czy córka tamtej usiłowała je realizować, gdy stała samotnie przy szosie 95 i później, kiedy prawdopodobnie przyjmowała propozycję podwiezienia od nieznajomego jadącego na południe.

Zee cieszyła się, że kobieta zdążyła opuścić grupę, zanim Mattei poruszyła temat swojej najnowszej teorii. Matka auto-

stopowiczki i tak wystarczająco mocno obwiniała się za zniknięcie córki. Zapewne codziennie zastanawiała się, czy mogłaby zmienić bieg zdarzeń, gdyby tylko dała córce tę jedną nieuchwytną i wymykającą się określeniu rzecz, której nie zdołała dziewczynie zapewnić. Może było to coś namacalnego i całkowicie zwykłego jak czerwona sukienka w oknie wystawowym Filene. Albo tygodniowy wyjazd na obóz harcerski, o który córka błagała od lat.

Nikt nie rozumiał pojęcia „gdyby tylko" lepiej niż Zee. Dziewczyna żyła nim codziennie, chociaż nie musiała szukać w pamięci żadnej nieuchwytnej i wymykającej się określeniu rzeczy. Bo Zee wiedziała, czego jej matka pragnęła tamtego dnia wiele lat temu i co mogło ją wyrwać z depresji. Chodziło o tomik poezji Yeatsa, który dostała od Fincha w dniu ślubu; był to jeden z jej skarbów. Tyle że „gdyby tylko" obróciło się przeciwko Zee. Gdyby tylko nie próbowała zdobyć dla matki tego, czego Maureen chciała tamtego dnia, gdyby tylko nie zostawiła jej samej... może wówczas zdołałaby ją uratować.

Rozdział 1

Lilly Braedon się spóźniała.

Mattei wsunęła głowę do pokoju Zee.

— Ależ cholernie gorąco jest na dworze — mruknęła. — O Boże, nie masz chyba w tym momencie pacjentki, co?

— Ma przyjść lada chwila — odparła Zee, patrząc na zegar.

Było kwadrans po trzeciej.

Mówiąc do Zee, Mattei przebierała się, równocześnie skopując ze stóp buty do biegania i wkładając żakiet. Doktor Mattei przechodziła bowiem około ośmiu kilometrów wzdłuż rzeki Charles każdego popołudnia, niezależnie od pogody. Kiedy danego dnia miała zapisanych zbyt wielu pacjentów, co zdarzało się niemal zawsze, wiadomo było, że z kilkoma z nich spotka się w trakcie spacerów nad rzeką. Nazywała te „wizyty" medytacją spacerową i mówiła chorym, że łatwiej będzie im się przed nią otworzyć, jeśli nie będą czuli na sobie jej wścibskiego spojrzenia. Tydzień po tym, jak zaczęła przyjmować pacjentów w ten sposób, każdy psychoterapeuta z Bostonu spacerował ze swoimi.

— Boże, tylko nie znowu ten agorafobik.

To był kolejny z żartów Mattei. Pięćdziesiąt procent osób szukających u nich pomocy cierpiało w jakimś stopniu na agorafobię, schorzenie, które — w najlepszym wypadku —

utrudniało sesje terapeutyczne i z którego powodu Mattei wpadła niedawno na pomysł pobierania półtorakrotnej stawki za umówione spotkania, na które pacjent nie przyszedł. Zee rzadko stosowała tę nową zasadę wobec osób, które leczyła.

Mattei usiłowała dziś bardziej niż zwykle ją rozśmieszyć, co oznaczało, że Zee najprawdopodobniej znów straszliwie się krzywiła. Marsowa mina tkwiła chyba w jej naturze i wyraźnie prowokowała do żartów nawet kompletnie obcych ludzi, którzy zawsze wszelkimi sposobami próbowali poprawić jej nastrój. Akurat tego ranka jakiś starszy mężczyzna, który wcześniej „zapomniał" sprzątnąć kupę swojego psa na Louisburg Square, podszedł do Zee i kazał jej się uśmiechnąć.

Zagapiła się na niego bez słowa.

— Sprawy nie mogą się przedstawiać aż tak źle — zauważył.

Gdyby nie był starszy nawet od jej ojca, kazałaby mu spływać, dodając, że jest to jej naturalna mina i że człowiekowi, który nie sprząta po swoim zwierzaku, nie powinno się pozwolić na swobodne chodzenie po świecie. Zamiast tego zmusiła się do niewyraźnego uśmiechu.

— A tak poważnie, który pacjent nie przyszedł? — spytała Mattei i czekała na odpowiedź.

— Lilly Braedon.

— Pani Mężatka Idealna — mruknęła Mattei. — Och, zapomniałam, przecież chodziło mi o ciebie.

— Jeszcze nie mężatka — rzuciła Zee trochę zbyt szybko.

— Aha! — powiedziała Mattei. — Ależ tak. Proste, proste, i sprawa zamknięta. Płaci pani trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Bardzo zabawne — mruknęła Zee, kiedy Liz zabrała swoje buty do biegania i wyszła z gabinetu.

Lilly Braedon przyprowadził do nich mąż, który szukał dla niej pomocy w klinice doktor Mattei. Przyjeżdżali tu ludzie z całego świata i prosili o pomoc. Mattei ukończyła psychiatrię na Harvardzie, później wykładała na Uniwersytecie Johna

Hopkinsa, toteż miała znakomite kwalifikacje. Napisała do „American Journal of Psychiatry" głośny artykuł na temat dwubiegunowego zaburzenia afektywnego z napadami paniki. Blisko współpracowała z zespołem genetyków, którzy ustalili współzależność pomiędzy tą chorobą i osiemnastym chromosomem; było to przełomowe odkrycie.

Potem jednak jej kariera naukowa utknęła w miejscu, gdyż doktor Mattei zafascynowała się bardziej popularnym podejściem do psychiatrii. Książka, którą napisała w dziesiątym roku od rozpoczęcia praktyki, przystępny poradnik pod tytułem *Bezpieczni w domu*, uczyniła z niej prawdziwą gwiazdę. Książkę zainspirował przypadek baseballisty grającego na drugiej bazie w bostońskiej drużynie Red Sox, którego Mattei skutecznie wyleczyła z napadów paniki. Jej praktyczne metody walki z panicznym lękiem opierały się na zasadach biofeedbacku, czyli biologicznego sprzężenia zwrotnego, i desensytyzacji, czyli odwrażliwiania, oraz rozpatrywaniu fizycznych okoliczności wspomnień.

— Świat jest przerażającym miejscem. — Mattei wyjaśniła to stwierdzenie najpierw reporterce z lokalnej telewizji, a później Oprah Winfrey. — A ja pokazuję, co możesz zrobić, aby przestać się bać.

Książkę wypełniały sztuczki sensoryczne, niemal zbyt proste, by wydawały się wiarygodne. Autorka mianowicie proponowała: nosić kamień, który ma likwidować stres, wąchać lawendę, oddychać głęboko. Na dołączonej do książki płycie kompaktowej można było znaleźć wskazówki do medytacji — jedne z muzyką, inne z odgłosami natury lub fragmentami poezji. Mattei cytowała nawet starą irlandzką modlitwę (tę, z której wynika, że nie należy się o nic martwić, ponieważ najgorsze, co może nam się przydarzyć, to trafienie do piekła, ale tym akurat w ogóle nie warto się trapić, bo przecież w piekle i tak będą wszyscy nasi przyjaciele). Chociaż Mattei była osobą francusko-włosko-japońskiego pochodzenia i w jej żyłach nie płynęła ani kropla irlandzkiej krwi, to z jakiegoś powodu

kochała wszystko, co irlandzkie. Może jest to przypadłość mieszkańców Bostonu. Mattei uwielbiała dzieła Jamesa Joyce'a i przysięgała nawet, że przeczytała i zrozumiała *Finneganów tren*, w co Zee poważnie wątpiła. Natomiast nie miała cienia wątpliwości, że jej szefowa uwielbia guinnessa i zespół U2. Wraz z narzeczonym, Michaelem, Zee spędziła ostatni Dzień Świętego Patryka z Mattei i jej życiową partnerką Rhondą w jakimś pubie w Southie, gdzie Liz piła jedno po drugim najlepsze z dostępnych w Bostonie irlandzkich piw. A zaledwie miesiąc temu wróciła ze spaceru terapeutycznego, mając na nosie parę różowych okularów przeciwsłonecznych od Armaniego przypominających te, które Zee kiedyś widziała u Bono.

Promując książkę, Mattei objechała całe Stany. Jednak dopiero gdy zjawiła się w talk-show Oprah, Amerykanie oszaleli na jej punkcie.

— Wśród mieszkańców naszego kraju można dostrzec narastające poczucie paniki — tłumaczyła Mattei w programie Oprah. — Tak, otacza nas panika. Oczywiście, od jedenastego września. A gospodarka? Przerażające. Wiesz, czego kobiety boją się najbardziej? — spytała. — Bezdomności. — Następnie wyjaśniła, że jeśli chodzi o całą populację, ludzi najbardziej przeraża konieczność publicznego przemawiania; wiele osób twierdzi, że wolałoby umrzeć, niż stanąć przed grupą i przedstawić swoją opinię na jakiś temat. Gdy Mattei wyrecytowała statystyki, odwróciła się i przemówiła wprost do kamery: — Czego wy naprawdę się boicie?

Słowa te odbiły się echem w całej kulturze popularnej.

A Mattei zakończyła prezentację sparafrazowanym cytatem stwierdzenia Alberta Einsteina:

— Musicie sobie zadać jedno jedyne prawdziwe pytanie, a mianowicie, czy wszechświat jest miejscem przyjaznym — poradziła i dodała: — Kiedy sobie na nie odpowiecie, będziecie mniej więcej wiedzieli, co przyniesie wam przyszłość.

Jej książka trafiła na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa" i pozostała tam przez sześćdziesiąt dwa tygodnie.

Kiedy sława Mattei rosła, kolejka jej pacjentów wydłużała się proporcjonalnie, więc w część przypadków wprowadziła stażystów. Sobie pozostawiła jednak większość osób cierpiących na zaburzenia dwubiegunowe.

— Wiedziałaś, że osiemdziesiąt procent poetów miało dwubiegunową chorobę afektywną? — zwróciła się do Zee pewnego ranka.

— Moja matka nie była poetką. Pisała książki dla dzieci — odparowała Zee.

— Niemniej jednak... — odparła Mattei.

„Niemniej jednak..." było prawdopodobnie najlepszą frazą, jakiej Zee nauczyła się od Mattei. Te dwa słowa miały siłę większą niż niejedno pojęcie. „Niemniej jednak..." może powiedzieć człowiek, który nie zamierza zmienić zdania w jakieś sprawie ani swoich intencji. W przypadku tego wyrażenia żadna riposta nie ma po prostu sensu. Jeśli chcemy zakończyć rozmowę albo kłótnię, wystarczy użyć tego magicznego sformułowania.

Zee często myślała, że jednym z powodów, dla których Mattei ją zatrudniła, był los jej nieszczęsnej matki. Historię przypadku Maureen można by uznać za dobry materiał na nową książkę. Tyle że Mattei nigdy nie wypytywała Zee o matkę. A kiedy Zee wspomniała któregoś dnia o swoich przypuszczeniach, szefowa odparła, że dziewczyna się myli, gdyż tak naprawdę zatrudniła ją z powodu rudych włosów.

Teoria i praca badawcza wciąż pozostawały pasją Mattei i chociaż posiadała świetnie prosperującą praktykę, miała także przed sobą inne zadania: napisanie drugiej książki i udokumentowanie nowej teorii o marzeniach matek. Z tego też względu większość pacjentów trafiała do Zee, ponieważ Mattei nie miała dla nich czasu. Michael nazywał to „zbieraniem po kimś resztek", chociaż — z czego w ogóle nie zdawał sobie sprawy — Zee określenie to kojarzyło się dość perwersyjnie; jego zdaniem było zabawne. Prawdę mówiąc, Michael akceptował wszystkie decyzje i działania Mattei. Przyjaźnili się od czasu studiów na

medycynie. Kiedyś, gdy Mattei zasugerowała mu, że powinien poznać Zee, i powiedziała, że znalazła dla niego idealną dziewczynę, ucieszył się i chętnie skorzystał z propozycji.

Dlatego niedługo później Zee poszła na pierwszą randkę w ciemno z Michaelem.

Również pod wpływem Mattei Michael zaprosił Zee do restauracji Radius. Zamówił dla nich obojga wieprzowinę kurobuta i wino barolo za dwieście dolarów. Zanim skończyli butelkę, Zee odkryła, że właśnie zgodziła się na wspólny weekend z tym mężczyzną na wyspie Martha's Vineyard. Wkrótce potem zamieszkali razem. Podobnie jak wcześniejsza propozycja pracy u Mattei związek Zee z Michaelem po prostu się „zdarzył".

Ten okres wciąż wydawał jej się raczej przeżywaniem sugestii posthipnotycznej niż prawdziwym życiem. Michael natychmiast uznał ją za doskonałą dla siebie dziewczynę, co więcej — nigdy nawet nie próbował w żaden sposób tego kwestionować. A dokładnie rok po ich pierwszej randce (najprawdopodobniej Mattei uważała ten czas za właściwy) oświadczył się Zee.

Zee czuła wdzięczność, gdy Mattei postanowiła ją u siebie zatrudnić. Dopiero co obroniła pracę magisterską i zaczęła pisać doktorat, a tu sama doktor Mattei zaprasza ją do swojej ekipy, dając do moderowania sesje psychoterapii grupowej i wspierając jej rozwój naukowy. Gdy Zee zdobyła tytuł doktora, pracowała już w narożnym gabinecie z widokiem na rzekę Charles i miała listę pacjentów, których „wyleczenie" zajmie jej całe lata.

Wyrażenie „sprawa zamknięta" należało do ulubionych żartów Mattei. Chociaż pacjenci prawie zawsze czuli się lepiej w miarę mijania kolejnych miesięcy terapii, nigdy nie zostawali wyleczeni w stu procentach. Mattei twierdziła, że „zamknięcie sprawy pacjenta" po prostu nie istnieje. W każdym razie nie we współczesnym amerykańskim społeczeństwie — upierała się. Nie w kraju, który stworzył najżyźniejszy grunt zarówno dla manii prześladowczych, jak i dla wynikających z nich epizodów maniakalnych lub depresyjnych; nie w kraju, który wynalazł machinę marketingu korporacyjnego — to za jego

sprawą ludzie nie czuli się spełnieni, jeśli nie brali coraz większych kredytów, by kupować kolejne przedmioty, na jakie właściwie nie było ich stać. Mattei oczywiście nie miała nic przeciwko tej machinie, gdyż dzięki niej się wzbogaciła. Jej zdaniem nie istniało jednak coś takiego jak całkowite wyleczenie. Zamknięcie sprawy pacjenta było zdecydowanie nieamerykańskie.

Kiedy w klinice zjawiła się Lilly Braedon, Mattei szybko przekazała ją Zee.

W poprzednim roku Lilly przeżyła niezwykle silny, wręcz obezwładniający atak paniki i rozpoznano u niej zaburzenia paniczne. Miejscowi interniści i specjaliści, do których trafiła, wykluczyli wszelkie możliwe przyczyny fizyczne: problemy z tarczycą, anemię, toczeń i tak dalej. Pewnego dnia mąż Lilly, który jak sam twierdził, „kocha żonę nad życie" (słowa te natychmiast wzbudziły podejrzenia zarówno u Zee, jak i u Mattei), obejrzał odcinek programu *The View*, co — zarzekał się — nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło, a następnie pojechał do księgarni Spirit of '76 w Marblehead, gdzie chciał kupić książkę Mattei. Niestety, wszystkie egzemplarze zostały sprzedane. Natychmiast zamówił dwa, jeden dla siebie, drugi dla niedomagającej żony.

Jednakże Lilly była zbyt chora, aby skupić się na czytaniu. W ostatnich dniach opuszczała dom jedynie późnym popołudniem, kiedy cienie były dłuższe, a jaskrawe światło (kolejny irracjonalny lęk) bardziej przyćmione. Jak mówił jej mąż, często chodziła wtedy na długie spacery krętymi uliczkami Marblehead i dalej dróżkami wśród grobów cmentarza Old Burial Hill, aż trafiała na urwisko wysoko ponad przystanią, gdzie czasami przebywała jeszcze po zachodzie słońca.

— Więc formalnie rzecz biorąc, nie cierpi na agorafobię — oznajmiła Mattei mężowi pacjentki, kiedy skończyła wstępną analizę medyczną stanu Lilly. — Opuszcza przecież dom.

— Chodzi jedynie na spacery — odparł mężczyzna. — Twierdzi, że ją uspokajają.

— Interesujące — zauważyła Mattei.

Zee wiedziała jednak, że jej szefowa wcale tak nie myśli. Powód, dla którego Zee zajmowała się Lilly, był prosty — Mattei od razu postanowiła mieć ten kłopot z głowy. Zupełnie nie zainteresował jej przypadek Lilly Braedon.

Zee natomiast wręcz przeciwnie. Od pierwszej chwili, gdy spotkała swoją nową pacjentkę, podejrzewała, że w historii kobiety jest znacznie więcej elementów niż te, o których Lilly mówi.

Co wtorek Zee odbywała też własną sesję terapeutyczną z Mattei. Przeważnie rozmawiały o pacjentach Zee albo przynajmniej o tych, których leczono medykamentami (a taka była większość). Jeśli pacjenci z napadami paniki nie dostawali w danym okresie leków, istniał ku temu ważny powód: często stosowali właśnie program dwunastu kroków, walcząc z dodatkowym uzależnieniem od alkoholu lub narkotyków, bądź też cierpieli na jakąś paranoję, z powodu której starali się trzymać z dala od wszelkich lekarstw.

Tego ranka Zee omówiła wszystkich „podejrzanych", jak Mattei nazywała pacjentów swojej podopiecznej. Stan jednego się poprawił, drugi wymyślił sobie „kurację" burbonem i tabletkami nasennymi, a jedna z kobiet przyjęła wszystkie leki naraz i zaczynała wykazywać oznaki epizodu maniakalnego. Kiedy doszły do Lilly, Zee oznajmiła Mattei, że nie ma żadnych nowych informacji.

— Niezadowalające — oceniła szefowa.

Zazwyczaj sprawa Lilly Braedon ani trochę nie obchodziła Mattei, jednak coś, co podczas ich ostatniego spotkania powiedziała Zee, dla odmiany wzbudziło jej zainteresowanie i wywołało wiele pytań. Kiedy zatem Zee zakomunikowała, że nic się nie zmieniło, Mattei nie uwierzyła.

— Czy to oznacza, że Lilly jest w fazie normalnej? — spytała.

Mówiły o dwubiegunowym zaburzeniu afektywnym Lilly, gdyż taką postawiły diagnozę. Zee aż nazbyt dobrze znała fazy tej choroby — te same zaburzenia rozpoznano u jej matki wiele lat temu, tyle że wówczas nazywano to schorzenie psychozą maniakalno-depresyjną (i to określenie zawsze wydawało się Zee bardziej adekwatne). W większości przypadków dla zaburzeń dwubiegunowych charakterystyczne były huśtawki nastroju, po których następowały okresy względnej normalności.

— Nie powiedziałabym, że w normalnej — odparła Zee.

— Kolejne kłopoty z policją z Marblehead?

— Ostatnio nie — odpowiedziała Zee.

— No cóż, to już coś.

O trzeciej trzydzieści pięć Lilly nadal się nie zjawiła. Zee podeszła do okna. Po drugiej stronie Storrow Drive na jednej z ławek siedziała bezdomna kobieta, nikt jednak nie spacerował wzdłuż rzeki Charles. Było zbyt gorąco i zbyt wilgotno na jakikolwiek ruch. Na ulicach samochody stały w korkach, kierowcy trąbili nerwowo i starali się dotrzeć do dróg prowadzących na północ. „Tekturowy most", tak Zee nazywała Craigie Bridge, wyglądał jak kiepsko wykonane przez czwartoklasistę zadanie domowe z plastyki. Przez lata sadza gromadziła się w zacienionych miejscach, a w dzisiejszej mgle most wydawał się płaską, bezbarwną, jednowymiarową imitacją.

O trzeciej czterdzieści pięć Zee wystukała numer pacjentki. Kierunkowy 631, Marblehead. Zapisując dla Zee numer, Lilly powiedziała, że dawniej łączono się przez centralę, prosząc o NE 1.

— NE od Neptun. Neptun to rzymski bóg mórz.

Zee przypomniała sobie czasy szkolne. Neptun (albo Posejdon, jego grecki odpowiednik) był bogiem mórz i mężem Amfitryty, a Amfitryta w wersji anglosaskiej była drugim

imieniem matki Zee. Chociaż Doherty to nazwisko zdecydowanie irlandzkie, babcia Zee na drugie nadała każdemu z trójki swoich dzieci imię greckiego boga lub bogini. I tak matka Zee nazywała się Maureen Amphitrite Doherty, wuj Mickey miał na drugie Zeus, a wuj Liam, który zmarł w Irlandii jeszcze przed narodzinami Zee — Antaeus (czyli Anteusz); imię to stało się zapowiedzią przemocy, której doświadczył jako dorosły. Zee pamiętała, jak jej matka dokuczała wujowi Mickeyowi z powodu jego drugiego imienia.

— No cóż — odparł wówczas Mickey. — Która matka nie uważa swego syna za boga?

To prawda — pomyślała Zee.

Wróciła do rzeczywistości. Ostatnio często błądziła gdzieś myślami. Zdarzało jej się to nie tylko w obecności Lilly, lecz także podczas spotkań ze wszystkimi pacjentami. Odnosiła wrażenie, że ludzie opowiadają w kółko te same historie, a jej praca zaczyna bardziej przypominać działalność detektywa niż terapię. Klucz nie tkwił w samych opowieściach, przynajmniej nie w tych, które pacjenci opowiadali raz po raz. Chodziło raczej o warianty ich historii, o drobne szczegóły, które zmieniały się wraz z każdym kolejnym opowiadaniem. Te szczegóły często stanowiły drogę do problemów ukrytych pod powierzchnią. Czyżby pacjenci nie mówili prawdy?

„Wszyscy kłamią” — tak brzmiało kolejne z ulubionych wyrażeń Mattei.

Przez ostatnie tygodnie Zee słuchała kolejnych wariacji historii Lilly. Jednak kiedy kobieta wspomniała o Neptunie, zaczęła się zupełnie nowa opowieść, której Zee nigdy przedtem nie słyszała.

— Było to w czasach — mówiła Lilly — zanim telefony w Marblehead miały tarcze, czyli wtedy, gdy podnosiło się słuchawkę, a w niej odzywała się telefonistka, polecając nosowym głosem w czterech sylabach: „Nu-mer, pro-szę”. Jeśli ktoś chciał się dodzwonić do Marblehead, musiał odpowiedzieć: „Neptun jeden, poproszę”.

Lilly była o wiele za młoda, aby pamiętać telefony bez tarczy i telefonistki, które łączyły dzwoniących, a jednak z jakiegoś powodu najwyraźniej uważała ten drobiazg za bardzo istotny.

— Czy Neptun ma dla ciebie jakieś szczególne znaczenie? — spytała Zee.

Lilly się skrzywiła.

— Zawsze się go bałam — odparła. — Neptun to mściwy bóg.

O piątej dwadzieścia Zee wystukała numer swojej konsultantki ślubnej.

— Bardzo mi przykro, ale będę musiała ponownie odwołać nasze spotkanie. Moja pacjentka się spóźnia — wyrecytowała, uspokojona, że połączyła się z automatyczną sekretarką, a nie z osobą, która (musiała się do tego przyznać) straszliwie ją przerażała.

Ogarnęło ją lekkie oszołomienie i roztargnienie. Tak czuła się w dzieciństwie, gdy na dworze padał śnieg. Michael miał wrócić z Waszyngtonu dopiero ostatnim pociągiem wahadłowym. Skojarzenie z zimą zasugerowało Zee, że może powinna wykorzystać ten czas niespodziewanej wolności, jak zwykła to robić w śnieżne dni. Mniejsza o to, że na dworze było ponad trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Miała dla siebie cały wieczór. Mogła zrobić wszystko, co zechce. Nie potrafiła sobie przypomnieć poprzedniego wolnego wieczoru. Ostatnio dzieliła czas pomiędzy obowiązki zawodowe i plany ślubu, więc zostawało jej niewiele chwil na cokolwiek innego. Nawet ojca nie widywała od kilku miesięcy i czuła się z tego powodu winna, chociaż wiedziała, że Finch ją zrozumie.

Datę ślubu ustalili dopiero na późną jesień, jednak Zee wydawało się, że na liście czynności do wykonania codziennie znajduje przynajmniej jedną rzecz związaną ze ślubem. Zaczęła tego nienawidzić. Dziś wieczorem na przykład mieli wybierać

w restauracji O Ya jedzenie na przyjęcie weselne: sushi i trzy gatunki sake. W sumie byłby to całkiem przyjemny wieczór. Niestety, Michael nie wróci na czas, a Zee nie zamierzała spotykać się z konsultantką sama. Problemem nie była zresztą konsultantka — zapewne najlepsza w całym Bostonie — lecz to, że Zee nie potrafiła podjąć żadnej decyzji, nie umiała wybrać spośród niezliczonych możliwości, które konsultantka jej proponowała.

Wymówka była oczywiście kłamstwem... No może bardziej wykrętem. Lilly zapisała się przecież na trzecią, a nie na piątą, i jej przyjście (lub nie) nie miało znaczenia dla wieczornych planów Zee.